

Byłem niewidomy, a teraz widzę

Świadectwo nawróconego księdza

Jose A. Fernandez

Syn Hiszpanii

Urodziłem się ślepy, nie fizycznie, ale duchowo, w 1899 roku w górzystym i niedostępnym rejonie Asturii, zwanym bardzo trafnie „Szwajcarią Hiszpańską”. Rodzice, pobożni katolicy, żywili wiarę - mówiąc językiem św. Teresy z Avila - „człowieka rozżarzonego”, bezwarunkowo uznając wszystko, czego nauczał i w co wierzył Kościół Rzymskokatolicki. Tę ślepią wiarę przekazali też całej siedemnastce swych dzieci.

Katolicyzm w naszej rodzinie przenikał serce, umysł, nawet ciało; niemowlę z mlekiem matki wysysało miłość i oddanie do Maryi i świętych. Od najmłodszych lat wpajano nam kult medalików, szkaplerzy, różańców, świętych obrazków itd., a słowo księdza było prawem, bezwzględnie przestrzegany.

Od dzieciństwa pociągało mnie wszystko, co związane z kościołem i z księdzem, w którym nauczyłem się widzieć nadczłowieka, pozbawionego ludzkich potrzeb i słabości. Z zapałem służyłem do mszy, za zaszczyt i honor poczytując sobie poranne pobudki i przeszło trzykilometrowy marsz przez górskie śniegi, po to aby asystować księdzu. W wieku siedmiu lat umiałem już deklamować po łacinie całą mszę.

Ślepa wiara

Co wieczór bez wyjątku odbywała się rodzinna modlitwa: odmawianie różańca i szeregu modlitw do rozmaitych świętych. Gromadziliśmy się, w tym najmłodsze dzieci, w kuchni, służącej także za pokój dzienny. Całkiem spory kościółek! Gdy ojciec wyjmował z kieszeni różaniec, był to dla reszty znak, iż należy klęknąć na kamiennej posadzce i szykować się na męczarnie trwające zazwyczaj 40 minut. Nabożeństwo różańcowe - czyli skład apostołski, 53 Zdrowaś Maryjo, 6 Chwała Ojcu, 5 Ojciec nasz, Salve Regina i Litanie do Matki Najświętszej - samo w sobie było wyczerpujące;

jednak dużo gorsze następowało potem: nie kończący się ciąg modlitw do tej czy innej, Matki Bożej”, aniołów i świętych słynących z pomocy w przeróżnych okolicznościach i przeciwnościach życiowych.

Slepą wiarę we wszystko, co głosił Kościół, żywił zwłaszcza ojciec. Nie zapomnę, jak raz, 14 sierpnia, pracował w polu. Wigilia Święta Wniebowzięcia Maryi, patronki naszej wioski, była dniem postu i powstrzymywania się od potraw mięsnych. Pole leżało ponad trzy kilometry od domu, zaniósłem więc ojcu posiłek w koszyku. Usiadł, ale gdy spostrzegł, że *puchero*, typowa potrawa hiszpańska, jest na mięsie, nie tknął go i do późna pracował o głodzie. Później powiedział mi: „Trzeba by kupić *bullę* [dyspensę], ale nie ma pieniędzy”.

„Bulla” była dokumentem sprzedawanym przez hiszpański Kościół katolicki, dającym nabywcy prawo spożywania mięsa w dni, w które zabrania tego prawo kościelne. Na terenie Hiszpanii funkcjonowały aż cztery „Bulle”: Świętej Krucjaty (dająca nabywcy szereg odpustów), Ciała (dająca prawo spożywania mięsa w pewne dni), Posiadłości (dająca prawo zatrzymania własności nabytej nieprawnie, której poprzedni właściciel nie jest znany) oraz Zmarłych (na korzyść zmarłych).

Kult obrazów

Moje wczesne życie religijne skupiało się wokół jednego corocznego wydarzenia: obchodów Święta Pani Poranka w dniu 15 sierpnia, upamiętniającego Wniebowzięcie Maryi. Pani Poranka była zresztą patronką naszego regionu. Według podania objawiła się jednemu pasterzowi na pobliskiej górze Alba, czyli, Poranek”. Wzniesiono sanktuarium dla uczczenia tego objawienia. Co rok organizuje się tam procesję, a sanktuarium odwiedzają tysiące pielgrzymów z bliska i z daleka. Figurkę Maryi, przyodzianą w królewskie szaty, obnosi się w procesji po zboczu góry, wśród okrzyków uwielbienia wiernych, przybywających z prośbą o cud bądź z podziękowaniem za cud już dokonany. Każdy region Hiszpanii posiada przynajmniej jedną taką cudowną Maryję. Fatima powielona setki razy!

Choć teologia katolicka różni między obrazem a osobą, którą on przedstawia, to w praktyce różnica ta jest czysto teoretyczna. Pomimo oficjalnej nauki katechizmu nie wątpiłem ani przez chwilę, że ja i ci prości

górale oddajemy cześć figurze. Dla nas przedmiot ów posiadał w sobie nadprzyrodzoną moc - choć szczerze mówiąc nie była to nawet figura w dosłownym sensie: ot, kilka patyków, na jednym zatknięta głowa. Później przybierano to w jedwab i złoto. Zdumiałem się niepomiernie pewnego dnia, ujrawszy, jak kobiety pomagające w kościele rozbierają figurę i Maryja z mych snów okazuje się zwykłą kukłą. Obraz ten pozostał we mnie po dziś dzień.

Proboszcz, spostrzegłszy moje religijne skłonności, zaproponował, abym przygotowywał się do kapłaństwa. Mając tak wysokie mniemanie o tej postudze zgodziłem się skwapliwie, ku radości i satysfakcji głęboko religijnego ojca i zakłopotaniu równie religijnej matki, której wskutek uczuć macierzyńskich pomysł ten jednak nie bardzo przypadł do gustu.

Zakonnik i kapłan

W wieku 12 lat opuściłem dom, ojca, matkę, braci i siostry, aby nigdy już ich nie ujrzeć. Chwała kapłańskiego życia, tajemniczość klasztoru i roztaczana przede mną perspektywa zbawienia duszy przytłumiły naturalny smutek, jaki budził się w sercu na myśl o opuszczeniu rodziny i dzieciennego domu.

Posłano mnie do prowincji Valadolid, do gimnazjum prowadzonego przez Dominikanów, przygotowującego chłopców przeznaczonych przez rodzinę do stanu kapłańskiego.

Przez cztery lata pobytu w tej szkole nie tylko uczyłem się typowych przedmiotów szkolnych, ale i świetnie opanowałem katechizm. Tam właśnie katolicyzm do reszty posiadał mą duszę i ciało, i tam zasiano we mnie ziarna nietolerancji: katechizm głosił bowiem, że istnieje tylko jeden prawdziwy Kościół Jezusa Chrystusa, i poza nim nie ma zbawienia, a jest nim, Święty Apostolski Kościół Rzymskokatolicki". Tam też ukazano mi Boga jako surowego sędziego, gotowego oddać nam wedle naszych grzechów, Bóstwo gniewne, które można nieco udobruchać dobrymi uczynkami, pokutą i umartwieniami.

Nietrudno zrozumieć, w jakim zniewoleniu trzyma Hiszpanów Kościół rzymskokatolicki - odnosi się to zwłaszcza do kandydatów na księży, od lat chłopięcych oddychających taką atmosferą i karmionych takimi

ideami. To być może wyjaśnia, dlaczego przed laty palono tu na stosach protestantów, którzy po dziś dzień są w mej rodzinnej Hiszpanii prześladowani.

Przez pierwsze dwa lata nauki przykładowie zachowywałem wszystkie przepisy i byłem wzorem pilności, kilka razy zostając laureatem specjalnej nagrody. Z tej to szkoły, apostolskiej" wysłano mnie do nowicjatu dominikańskiego w Avila i w słynnym klasztorze Santo Tomas zaopatrzonego szesnastoletniego chłopca w czarno-biały habit dominikanina.

Męczarnie

Cały rok poświęciłem gorliwemu zgłębianiu reguły i konstytucji zakonu, ich ścisłemu przestrzeganiu, śpiewom godzinek i próbom zadowolenia nieustannie czuwającego prefekta.

Był to rok próby i sprawdzianu, jaki mogą znieść tylko najsilniejsze charaktery. Pościliśmy od 14 września aż do Wielkanocy. Pocztę w obie strony starannie cenzurował prefekt. Kontakty ze światem zewnętrznym były zakazane, podobnie jak wszelkie rozmowy i porozumienie między księdzem a zakonnikami z klasztoru. Obowiązkowa spowiedź co tydzień - zazwyczaj w sobotę - odbywała się u tego samego prefekta, który był naszym przełożonym i nieustannym nadzorcą.



Nietrudno sobie wyobrazić strach i psychiczne męczarnie, jakie powodował ten niemiłosierny zwyczaj, od czasu skorygowania go w Kodeksie prawa kanonicznego stosowany wobec młodych nowicjuszy. Dosłownie trzęśliśmy się na myśl o sobocie. Ale marzenia i myśl o tym, że pewnego dnia stanę się pełnoprawnym zakonnikiem, dodawały niezbędnej odwagi, by pomyślnie przetrwać ten rok próby i zupełnej abnegacji.

Dzień częściowego wyzwolenia nastąpił 8 września 1917 roku, w święto Narodzenia Najświętszej Maryi Panny, kiedy złożyłem śluby zakonne w zakonie Dominikanów. Następne cztery lata po nowicjacie spędziłem w Kolegium Santo Tomas.

Odkąd w wieku 12 lat opuściłem dom, aż do ukończenia kolegium w wieku lat 21 nie zamieniłem ani słowa z kobietą. Naszym młodym umysłem ukazywano kobiecość jako zło, a nauczyciele nieraz częstowali nas historiami o świętych, którzy nigdy nie spojrzeli na twarz własnej matki. Taki przykład mieliśmy naśladować.

Do Ameryki

Po czterech latach kolegium 17 seminarzystów miało udać się do Ameryki na studia teologiczne i naukę angielskiego.

Odziani w sutanny noszone przez księży katolickich w Stanach Zjednoczonych, przemierzaliśmy ulice Madrytu, po raz pierwszy od dziewięciu lat oglądając czarujące hiszpańskie *señoritas* i rumieniąc się, ilekroć spotykaliśmy się wzrokiem z którąś młodą damą. Kiedy tak szliśmy, ludzie przystawali, by się nam - tak dziwnie przyodzianym - przyrzec bliżej, i szeptali: „ To tacy księża, co się żenią” (jest to nieprzychylny sposób określania w Hiszpanii pastorów protestanckich).

Mimo swoich 21 lat nigdy dotąd nie spotkałem niekatolika; wtedy w Hiszpanii wszyscy deklarowali takie wyznanie. Czytałem wprawdzie i słyszałem o protestantach, ale nie mogłem uwierzyć, że ludzie tacy istnieją. Pierwsza sposobność poznania niekatolika nadarzyła się podczas rejsu do Ameryki. Statkiem tym podróżował też amerykański dżentelmen, powracający do kraju po kilkuletnim pobycie w Hiszpanii wraz z czarującą 17 letnią córką, biegle władającą hiszpańskim.

Okazuje się, że pobyt w klasztorze nie zmienia ludzkiej natury. Jednego dnia trzech z nas nawiązało z dziewczyną rozmowę - by wkrótce ze zgrozą odkryć, że to protestantka. Powodowani wielką, acz nieroztropną gorliwością, od razu zaczęliśmy wprowadzać w czyn wszystko, czego nas uczono na temat nawracania protestantów.

Zaczęliśmy od Najświętszej Maryi Panny. Zapytaliśmy:

- To ty nie wierzysz w Najświętszą Maryję Pannę?
- Owszem, wierzę - odparła - ale nie tak jak wy.

Przeraziła nas ta bezpretensjonalna odpowiedź, toteż brnęliśmy dalej:

- To ty nie wiesz, że trzeba się modlić do Maryi, aby otrzymać zbawienie?
- O tym nie wiedziałam - padła beztroska replika.

Zdesperowani, pouczyliśmy ją więc:

- I nie wiesz, że takie młode damy jak ty powinny prosić Maryję, aby strzegła ich dziewictwa?

Rozpłakała się i pobiegła na górę, a po dwóch minutach na schodach zjawił się jej ojciec z rewolwerem w dłoni, gotów nas powybić. I byłby to zrobił, gdyby nie interwencja kapitana.

Tak skończyły się moje pierwsze próby ewangelizacyjne. Bałem się protestantów!

Faryzeusz nad faryzeusze

W Dominikańskim Seminarium Teologicznym w Luizjanie spędziłem trzy lata, a potem jeszcze jakiś czas na Uniwersytecie Notre Dame. Po święceniach kapłańskich w 1924 roku posłano mnie jako wikarego do jednej z największych parafii katolickich w Nowym Orleanie. Pełniłem tam tę posługę przez dziewięć lat, aż w 1932 roku, w wieku zaledwie 32 lat, zostałem proboszczem tej parafii.

Sześć lat trudziłem się w tej roli z poświęceniem i zapałem, i prawdę mówiąc nie bezowocnie. Liczba członków rosła ponad oczekiwania, podobnie udział w nabożeństwach i sakramentach - a nawet zamożność materialna. Gdy zostałem proboszczem, do szkoły parafialnej uczęszczało około 450 uczniów, dwa lata później liczba ta przekroczyła magiczną granicę 1000. Umożliwiłem też darmową oświatę religijną setkom dzieci z ubogich rodzin.

Zakon Dominikanów zaszczyił mnie urzędem Przełożonego Domu Dominikańskiego przy naszym kościele; miałem do pomocy pięciu księży i dwóch braci świeckich. Byłem też spowiednikiem w kilku zakonach żeńskich, co dowodzi wysokiego mniemania, jakie mieli o mnie arcybiskup, parafianie i bezpośredni przełożeni. Można by mnie zaiste nazwać, faryzeuszem nad faryzeusze", jak nikt potrzebującym spotkania z żywym Chrystusem na duchowej drodze do Damaszku!

Skruszona dusza

Podczas ostatniego roku pracy jako proboszcz zacząłem wątpić w prawdziwość niektórych doktryn kościoła rzymskiego. Najpierw

odrzucałem naukę o kapłańskiej władzy odpuszczania grzechów podczas spowiedzi. Nie mogłem się też zmusić do wiary w doktrynę przeistoczenia ani w rzeczywistą, cielesną obecność Chrystusa w chlebie i winie.

Moja wiara w Kościół słabła. Nie chciałem być obłudny, rozważałem nawet porzucenie kapłaństwa. Ale Bóg znów zaingerował za pośrednictwem ludzi - tym razem generała Zakonu Dominikanów. Z Rzymu nadszedł jego rozkaz, aby hiszpańscy dominikanie pracujący w Luizjanie przekazali swe parafie dominikanom miejscowym. Niektórym z nas polecono wrócić do Hiszpanii, innym udać się na Filipiny.

Bez szemrania zastosowałem się do nakazu opuszczenia parafii, przeczuwając w tym niespodzianym obrocie wypadków palec Boży. Nie godziłem się jednak na wyjazd z kraju, do którego przywykłem i który pokochałem. Porzuciłem więc kapłaństwo i poszedłem drogą wiodącą prosto w ryzostok grzechu. W którymś miejscu tej drogi Bóg się jednak nade mną ulitował i ocalił od zupełnej zguby. Półtora roku toczyła się w mej duszy zażarta walka. Nieraz chciałem zapomnieć o Bogu i wszystkim, co święte. Ale wtedy przypominałem sobie słowa wypowiedziane niegdyś przez Piotra z głębi serca: „Panie! do kogóż pójdziemy? Ty masz słowa żywota wiecznego” (J 6,68).

Świat ze wszystkimi swymi przyjemnościami i pokusami nie umiał zapełnić pustki w mojej duszy. Po próżnym poszukiwaniu szczęścia w rzeczach tego świata, wciąż pragnąc zbawienia duszy, skierowałem się do pewnego klasztoru na Florydzie. Postanowiłem poświęcić życie Bogu i spędzić je w samotności klasztornej; zamknąć się w czterech ścianach świątobliwej budowli i z całych sił zaskarbiać sobie zbawienie. Sądziłem, że w klasztornej ustroniu Bóg na pewno da mi pewność zbawienia i wewnętrzne szczęście, którego łaknąłem.

Tak sobie postanowiłem - ale Bóg miał inne plany. Odtąd Jego ręka była w moim życiu wyraźnie widoczna; bowiem właśnie podczas pobytu w tym klasztorze zetknąłem się z chrześcijaństwem ewangelikalnym.

Moc Słowa Bożego

Jakiś czas pracowałem w klasztornej bibliotece; był w niej jeden zamknięty pokój z tabliczką: „Literatura zakazana”. Ciekawość dodała mi sprytu, toteż jednego dnia zdobyłem klucz, otworzyłem ów pokój i zobaczyłem sześć czy siedem książek. Przeczytałem je jednym tchem. Były to książki religijne poświęcone dowodzeniu, iż rzymski katolicyzm wcale nie jest prawdziwym kościołem Jezusa Chrystusa.

Zabrałem się też za lekturę Biblii. Dotąd Biblia niewiele dla mnie znaczyła. Owszem, wiedziałem, że to natchnione Słowo Boże, ale wpojono mi, iż zwykły człowiek nie jest w stanie pojąć jej treści. Sądziłem, że tylko jakiś nadumysł, nieomylny autorytet może nam wyjawić, co miał na myśli Duch Święty, dając natchnienie świętym autorom Pisma. Wolałem więc czytać Słowo Boże według rozumienia tegoż nieomylnego autorytetu, tak jak podają je katolickie mszały i modlitewniki.

Ale z czasem lektura Biblii stawała się coraz większą pociechą i źródłem natchnienia w samotności; zacząłem też pojmować prawdziwy sens pewnych ustępów, na które wcześniej nie zwracałem uwagi. Szczególne wrażenie wywarły na mnie takie wersety: „Boć jeden jest Bóg, jeden także pośrednik między Bogiem i ludźmi, człowiek Chrystus Jezus. Który dał samego siebie na okup za wszystkich, co jest świadectwem czasów jego” (1Tm 2,5–6); „Łaska niech będzie ze wszystkimi miłującymi Pana naszego, Jezusa Chrystusa ku nieskazitelności” (Ef 6,24); „Wierz w Pana Jezusa Chrystusa, a będziesz zbawiony, ty i dom twój” (Dz 16,31); „A Duch jawnie mówi, iż w ostateczne czasy odstaną niektórzy od wiary, słuchając duchów zwodzących i nauk dyjabelskich, W obłudzie kłamstwo mówiących i piętnowane mających sumienie swoje, Zabraniających wstępować w małżeństwo, rozkazujących wstrzymywać się od pokarmów, które Bóg stworzył ku przyjmowaniu z dziękowaniem wiernym i tym, którzy poznali prawdę.” (1Tm 4,1–3).

Na glebę mej duszy padło ziarno Słowa Bożego. Prawdą jest, że próbowałem je zdusić, lecz ono, choć tak małe, rosło, aby w swoim czasie wydać owoc.

Wykładając młodym zakonnikom historię kościoła, miałem okazję przekonać się o zepsuciu w kościele rzymskim, zarówno w jego nauce, jak

i praktyce; w głębi serca czułem wielki podziw dla odwagi przywódców Reformacji. Lecz mimo dwu lat pobytu w klasztorze nie zdołałem odnaleźć wewnętrznego pokoju ani upragnionego szczęścia. Co miałem począć?

Żołnierz

Znużony życiem, a chcąc jakoś, przysłużyć się ludzkości", na wieść, że moja nowa ojczyzna przystąpiła do wojny, postąpiłem nader szlachetnie: zgłosiłem się do armii amerykańskiej na zwykłego szeregowca. Krokiem tym kierowała wyraźnie Boża Opatrzność. O mych wojennych losach szeregowca można by napisać całą bibliotekę. Wojsko to wspaniała instytucja, i cieszę się z powodu trzyletnich doświadczeń tam zdobytych. Najgorsi byli kaprale i sierżanci z klapkami na oczach, częste wyposażenie kancelarii kompanii, szarogęszący się tak, jakby byli co najmniej drugim Hitlerem, Mussolinim czy Tito, i mocno dający się we znaki szeregowcom.



Po szkoleniu zasadniczym posłano mnie do Ośrodka Szkolenia Wywiadu Wojskowego w Camp Ritchie w stanie Maryland. Wybrani na kurs wywiadu musieli posiadać dobre wykształcenie. Zarazem trzeba było ślepo słuchać kaprali i sierżantów, w cywilu pewnie zamiataczy ulic i pomywaczy, których jedyne kwalifikacje polegały na używaniu mocnych słów (im soczystszy język, tym więcej belek). Dziękuję jednak za nich Bogu, gdyż doskonale mi się wtedy przysłużyli, mimo woli przygotowując mnie do służby Bogu, ucząc pokory, posłuszeństwa, dyscypliny i, duchowej demokracji".

Przydzielono mnie czasowo do biura kapelana. Był to major Herman J. Kregel z holenderskiego kościoła reformowanego, człowiek o lotnym umyśle i złotym sercu. Został kapelanem Akademii Wojskowej w West Point po odsłużeniu trzech lat w siłach okupacyjnych w Japonii. Lubiałem w niedzielne poranki słuchać jego kazań, gdyż mówił płynnie i ciekawie. Mój umysł zaintrygowały wyczerpujące, jasne objaśnienia spraw doktrynalnych, moje serce natomiast ujął kapelan przykładem swego codziennego życia: wielkoduszności, bezinteresowności, szerokich horyzontów i prostoty. Po raz pierwszy spostrzegłem, że protestancki

pastor może być człowiekiem szczęśliwym i uczciwym w swej wierze i pracy.

W armii amerykańskiej - inaczej niż gdzie indziej - kapelan nie próbuje nawracać żołnierzy innych wyznań na swoje. Stosunki między nami były serdeczne, jak typowe stosunki między kapelanem a żołnierzem, nic ponadto. Nie sprzeciwiał się memu udziałowi w nabożeństwach protestanckich; bądź co bądź prawo sprawowania kultu religijnego zgodnie z sumieniem to jedna ze zdobyczy, którymi kraj ten się szczyci.

Zbawienie tylko przez wiarę

Jednej niedzieli Kregel mówił o zbawieniu tylko przez wiarę, opierając wywody głównie na nauce św. Pawła. Zdążyłem już wtedy odrzucić niemal wszystkie nauki i praktyki rzymskokatolickie, ale trzymałem się kurczowo wiary w zbawienie z uczynków. Po nabożeństwie udałem się do gabinetu kapelana, by mu oznajmić, co myślę o tak heretyckich twierdzeniach. Uzbrojony w tekst z Listu Jakuba 2,24: „A widzicież, iż z uczynków usprawiedliwiony bywa człowiek, a nie z wiary tylko”, butnie, pewien swego wyrzuciłem:

- Jeśli to, co pan mówi, to prawda, to Jakub się myli; a jeśli Jakub mówi prawdę, to pan i Paweł się mylicie. W przeciwnym razie musi pan przyznać, że Biblia przeczy sama sobie.

Kapelan z uśmiechem na twarzy kazał mi usiąść i „nie podniecać się tak”. W spokojny, pokorny, ale i pełen godności sposób, głosem pałającym żarliwą troską o duchowy stan żołnierza, który zakwestionował jego teologię, wyjaśnił:

- Jose, w Biblii nie może być sprzeczności, bo jej jedynym autorem jest Duch Święty, a On nie będzie przeczył sam Sobie.

Rzecz jasna, zgodziłem się z tym.

- A zatem - kontynuował - gdy Paweł mówi, że zbawienie jest tylko przez wiarę, to mówi to z punktu widzenia Boga, który czyta w naszych myślach i widzi nasze serca. Jeśli chodzi o Boga, jesteśmy zbawieni już w chwili,

kiedy uwierzemy. Ale zwróć, proszę, uwagę, że wiara ta polega na zaufaniu, a nie tylko na rozumowym uznaniu kilku tez doktrynalnych.

Nigdy dotąd nie słyszałem takiej definicji wiary.

- Lecz z drugiej strony - ciągnął - pisząc, że zbawienie jest też na podstawie uczynków, Jakub pisze to z punktu widzenia ludzi, którzy nie umiejąc czytać w myślach i sercu muszą mieć coś widzialnego i namacalnego, na podstawie czego osądzą, czy ktoś jest zbawiony. Z ludzkiego punktu widzenia jesteśmy więc zbawieni, gdy wydajemy dobry owoc (Mt 7,16). Ale dobre uczynki są nie źródłem, tylko skutkiem zbawienia.

Niebywałe wyjaśnienie - czegoś takiego jeszcze nie słyszałem! W pełni się zgodziłem; padła ostatnia rozumowa barykada: uwierzyłem całym umysłem, obiecując Panu, że po odejściu z wojska poświęcę Mu życie jako protestancki duchowny. Lecz nie byłem jeszcze gotów do tej pracy; nawrócił się mój umysł, ale serce pozostało nietknięte. Wierzyłem we wszystkie ważniejsze prawdy biblijne, ale serca Jezusowi nie oddałem.

Podczas któregoś dnia wolnego od zajęć zaszczycił mnie wizytą wysłannik nuncjusza apostolskiego (Watykan ma swoje sposoby, by sprawdzać, co porabiają jego ludzie), oznajmiając, że jeśli powrócę na jakiś czas do klasztoru w celu odbycia pokuty, to znowu otrzymam jakąś parafię. Tym jednak razem Watykan się spóźnił. Przez okres pracy u boku kapelana zbyt wiele wątpliwości i pytań zakiełkowało mi w głowie.

Grzesznik zbawiony łaską

Modliłem się o światło, szukałem pouczenia, a w wolne dni odwiedzałem różne kościoły Marylandu i Pensylwanii, chcąc sprawdzić, który wyda mi się najbardziej wierny Biblii.

Podczas jednej takiej peregrynacji po kościołach Baltimore spotkałem panią, która miała później zostać moją życiową towarzyszką, pobożną członkinią kościoła baptystów, ujmującą osobowość o wspaniałym poczuciu humoru i złotym chrześcijańskim sercu. Krótki okres narzeczeństwa uwieńczyło błogosławieństwo zaślubin, jakie odbyły się w kaplicy baptystów w obecności pastora. Odtąd przepadam za baptystami.

Moja poczciwa żona nie mogła mi oczywiście zapewnić zbawienia, Pan jednak ulitował się i obdarzył mnie nim pół roku później. A było to tak:

Jesienią 1944 roku wezwano mnie na tłumacza do pomocy wojskowym z Ameryki Południowej, którzy studiowali na wydziale wojsk zmechanizowanych w Fort Riley w stanie Kansas. Wciągając się w obowiązki wojskowe nie zanieczywałem też poszukiwań duchowych; był to bowiem okres mojej pogoni za prawdą.

Jednej sobotniej nocy udałem się na nabożeństwo pod gołym niebem prowadzone przez Armię Zbawienia na jednej z ulic Junction City. Zrazu patrzyłem na to obojętnie, nawet z pogardą, ale podczas spotkania jakaś nadprzyrodzona siła zmuszała mnie, bym słucał najuważniej. Wysięk się opłacił.

Młoda dama w mundurku Armii Zbawienia wygłosiła kazanie, piękne i wzruszające, zakończone apelem, by słucałcy uwierzyli w doskonałą, wystarczającą ofiarę Chrystusa, by odpowiedzieli na Jego łaskę. Przytoczyła też słowa Jezusa z Ewangelii Jana 5,24: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Kto słowa mego słuca i wierzy onemu, który mię posłał, ma żywot wieczny i nie przyjdzie na sąd, ale przeszedł z śmierci do żywota.”

Poczułem, że przechodzę ze śmierci do życia! Pod wpływem tej nadprzyrodzonej siły padłem na kolana, przyjąłem Chrystusa jako Pana mego życia i uznałem Go za swego Zbawiciela. Nie potrafię wytłumaczyć, co się stało ani jak to się stało. Mogę tylko powtórzyć za ślepcem z Ewangelii: „Będąc ślepy, teraz widzę” (J 9,25).

W obliczu przemienionego życia nie sposób zaprzeczać mocy Ducha Świętego. W moim życiu coś się zdarzyło, jestem już innym człowiekiem. Kocham rzeczy, których niegdyś nie znośłem, a nie znoszę takich, za którymi przepadałem. Temu, kto nie narodził się na nowo, wyda się to pewnie głupotą, „człowiek nie pojmuje tych rzeczy, które są Ducha Bożego; albowiem mu są głupstwem i nie może ich poznać, przeto iż duchownie bywają rozsądzone” (1Kor 2,14). Moje życie stało się odtąd publicznym świadectwem przemieniającej mocy Ducha Świętego: byłem grzesznikiem zbawionym łaską.

Gdy uwierzyłem rozumem, przez pół roku dręczyły mnie wątpliwości i lęki, a nocami koszmar gonił za koszmarem. Ale gdy uwierzyłem też sercem i w pełni oddałem się w ramiona ukrzyżowanego Zbawcy, poznałem pokój, błogość i doskonałą pewność, jakiej doświadczają ci, którzy ufają Jezusowi. Prawdziwe życie rozpocząłem w wieku 44 lat!

Sługa Ewangelii

Blue Ridge Summit to kurort letni w pasmie górskim między Marylandem a Pensylwanią, 25 km na zachód od Gettysburga i tylko niecały kilometr od Camp Ritchie, miejsca mego stacjonowania. Po ślubie zamieszkałem wraz z panią Fernandez w tym miasteczku. Największym kościołem był tam Kościół Prezbiteriański, a pastor, C. P. Muyskens, kolega kapelana Kregela ze szkolnej ławy, był niegdyś podobnie jak tamten pastorem holenderskiego kościoła reformowanego. Odwiedzając regularnie ten kościół, byliśmy pod wrażeniem wyjątkowych cnót kaznodziejskich i duszpasterskich pastora, a goszcząc nieraz w jego domu podziwialiśmy wzorcowe życie rodzinne. On nie zostawiał wiary za kazalnica - zabierał ją do domu. Znalazłem w nim zachętę, przykład i pokrzepienie, tak niezbędne w okresie przemiany z żołnierza w sługę Ewangelii.

Właśnie na początku tego owocnego okresu odesłano mnie nagle do dalekiego Fort Riley. Wracając po czterech miesiącach byłem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi: w sercu miałem już Chrystusa, a w kieszeni pochwałę od komendanta Szkoły Kawalerii. 24 kwietnia 1945 roku ordynowano mnie na pastora w kościele prezbiteriańskim Hawley Memorial w Blue Ridge Summit; ale nadal byłem żołnierzem. Dwa miesiące później otrzymałem utęskniony kawałek papieru: zaszczytne zwolnienie ze służby w Armii Stanów Zjednoczonych!

Jesienią zacząłem naukę w Seminarium Teologicznym Princeton, tam też w swoim czasie otrzymałem tytuł magistra teologii.

Rok spędzony w Princeton mogę chyba uznać za najszczęśliwszy w życiu: duchowe pokrzepienie, doskonała wspólnota z wierzącymi, rozwój intelektualny i najgłębsze przeżycia religijne. Był to dla mnie - jak niegdyś w życiu św. Pawła - okres „Arabii”. Pomijając niezwykłą urodę okolicy, szczególne wrażenie wywarło na mnie solidne, zdrowe nauczanie profesorów, a także widok rozpromienionych młodych ludzi, żyjących w

wolności Ducha i całkowicie oddanych służbie Chrystusowi. W porównaniu z sytuacją sprzed lat w seminarium różnica była kolosalna. Strach, reżim i nieustanną kontrolę zastąpiła miłość, radość i wolność dzieci Bożych.

Jego świadek

Skoro zaświadczyłem już o zbawczej mocy Jezusa Chrystusa, ostatnią część świadectwa powinienem chyba poświęcić zagadnieniu: „Czym Ewangelia jest dla mnie?” - jakim ja jestem świadkiem żywej i nieustannie działającej łaski Bożej?

Chrześcijaństwo to dla mnie życie w Chrystusie przez wiarę w Tego, który jako jedyny może zbawić. Bóg swą prawdę ukazał w Biblii, przez Biblię też poznałem prawdziwego, żywego Chrystusa, uznając Go za Zbawcę i jedynego, pośrednika między Bogiem a ludźmi”. Jako hiszpański katolik, znałem Chrystusa jako niemowlę na rękach matki i jako martwe zwłoki na kolanach Maryi. Żywy, zmartwychwstały Chrystus dla mnie nie istniał, do czasu aż Pismo Święte zaprowadziło mnie na Golgotę, do pustego grobu i do zmartwychwstałego Pana.

Przez 44 lata wystawałem pod Synajem, słuchając gromów prawa miotanych przez kościelny rytuał; lecz nie zdołały mnie one przekonać o moim grzechu. Aż nadszedł dzień, gdy udałem się na Golgotę i ujrzałem Zbawcę, który tam, na krzyżu, wisiał zamiast mnie. W obliczu krzyża pierwszy raz w życiu uświadomiłem sobie sens odkupienia. Uwierzyłem nie tylko umysłem, ale i sercem, powierzając siebie w ramiona Zbawiciela. Wtedy poczułem, jakby spadło ze mnie brzemię. Narodziłem się na nowo, moja dusza otrzymała życie wieczne.

Dzięki temu mogłem zakosztować chwały zmartwychwstania. W oczach Boga zostałem usprawiedliwiony, wszystkie me grzechy zostały usunięte sprzed Jego oblicza. Chrystus stał się dla mnie żywą rzeczywistością, i sam Duch wraz z moim duchem świadczył, że jestem synem Bożym, „uczestnikiem natury Bożej”. Typowy u katolika lęk przed śmiercią znikł z mego serca; i powtarzam za Pawłem: „Albowiem mnie życiem jest Chrystus, a umrzeć zysk” (Flp 1,21), i za Hiobem: „Aczci ja wiem, iż Odkupiciel mój żyje” (Hi 19,25). Mogę też powtórzyć radośnie i z triumfem słowa pewnej pieśni: „ On żyje! Rozmawia ze mną i jest obok

mnie, i mówi, że do Niego należę. Pytasz, skąd o tym wiem? Bo On żyje w moim sercu”.

Żywię głębokie przekonanie, że Ewangelia jest w swej istocie pełna mocy, zdolnej zmienić człowieka. Powiem za Pawłem: „Albowiem nie wstydę się za Ewangelię Chrystusową, ponieważ jest mocą Bożą ku zbawieniu każdemu wierzącemu, Żydowi najprzód, potem i Greczynowi” (Rz 1,16). Ta moc ze sfery duchowej wydaje się wpływać i na ekonomiczny, fizyczny wymiar życia, wedle obietnicy Bożej dla Jozuego: „Niech nie odstępują księgi zakonu tego od ust twoich; ale rozmyślaj w nich we dnie i w nocy, abys strzegł i czynił wszystko, co napisano w nim; albowiem na ten czas poszczęścią się drogi twoje, i na ten czas roztropnym będziesz” (Joz 1,8).

Poznawajmy, „moc Bożą ku zbawieniu” - Biblię. To ona jest źródłem naszej siły, podwaliną, na której wzniesiono kościół: „Zbudowani na fundamencie Apostołów i proroków, którego jest gruntownym węgielnym kamieniem sam Jezus Chrystus” (Ef 2,20).

Dajcie mi proste poselstwo Ewangelii, to, które mądrzy tego świata mają za głupstwo! Mnie ono wystarcza, bo jest mocą Bożą ku zbawieniu. Poselstwem tym pierwsi chrześcijanie dla Chrystusa zdobywali pogański świat i przez nie Reformatorzy zdołali oprzeć się mocy potężnego Goliata: Rzymu. Żaden szanujący Biblię chrześcijanin nie porzuci jej i Ewangelii dla katechizmu i przykazań ustalonych przez człowieka. Tylko nominalni chrześcijanie, pozbawieni, mocy Bożej ku zbawieniu”, mogą ulec pokusom religii materializmu, rytuału, formalizmu i pychy. Główną pobudką Reformatorów było umiłowanie tej prawdy, jaką odnaleźli w Ewangelii. Dlatego zgodnie podnieśli głosy przeciw przysłanianiu przez kościół światłości Ewangelii. Wytrwała obrona niesfałszowanego Słowa Bożego przed ówczesną władzą kościelną i świecką dała grunt pod dynamiczny rozwój prawdziwej wiary chrześcijańskiej, wznoszonej na Skale, którą jest Chrystus, i na filarach Jego Słowa.

Wyzwanie czasów

Co więc czynić, aby swym życiem ukazać moc Ewangelii?

1. Nawróćmy się! Padnijmy na kolana i ze skruchą w sercu wyznajmy, że zesłiliśmy ze ścieżki naszych przodków, którzy bohatercko walczyli „o wiarę raz świętym podaną” (Jd 3), że odwróciliśmy się od Słowa Bożego

ku przykazaniom ludzkim, powracając ku staremu formalizmowi i legalizmowi, przeciw którym wystąpili Reformatorzy. Zagubiliśmy pierwszą miłość, utraciliśmy wizję naszego bezcennego dziedzictwa.

W Apokalipsie czytamy apel anioła Bożego, który do kościoła w Sardach, symbolizującego Kościół Reformacyjny, zwraca się tak ostrymi słowami: „A aniołowi zboru, który jest w Sardziech, napisz: To mówi ten, który ma siedm duchów Bożych i siedm gwiazd: Znam uczynki twoje, i masz imię, że żyjesz; aleś jest umarły. Bądź czujny, a utwierdzaj innych, którzy umrzeć mają; albowiem nie znalazłem uczynków twoich zupełnych przed Bogiem. Pamiętaj tedy, jakoś wziął i słyszał, a chowaj i pokutuj. Jeżeli tedy czuć nie będziesz, przyjdę na cię jako złodziej, a nie zrozumiesz, której godziny przyjdę na cię.” (Ap 3,1-3).

2. Wróćmy do Biblii! To Chrystus jest Słowem. „Na początku było Słowo, a ono Słowo było u Boga, a Bogiem było ono Słowo. [...] A to Słowo ciałem się stało, i mieszkało między nami, i widzieliśmy chwałę jego, chwałę jako jednorodzonego od Ojca, pełne łaski i prawdy” (J 1,1.14).

Gdy czytamy Słowo, Chrystus jest z nami. Gdy głosimy je, dajemy słuchaczom Chrystusa, Tego samego, który chodził po ziemi, umarł na Golgocie i powstał z martwych. Tylko w mocy Słowa możemy oczekiwać ożywienia naszego chrześcijaństwa, umocnienia wiary, ocalenia świata od zamętu i zagłady.

3. Bądźmy świadkami Chrystusa! Skoro Słowo stało się ciałem, to i każde ciało powinno stać się słowem, głosząc „niedościgłe bogactwa Chrystusowe” (Ef 3,8). Jeśli Chrystus coś dla nas znaczy, to głosmy Jego Słowo. Jeśli doświadczyliśmy Jego zbawczej mocy, to oddajmy życie w Jego służbę. Jak napisał psalmista: „Niech o tem powiedzą ci, których odkupił Pan, jako ich wykupił z ręki nieprzyjacielskiej” (Ps 107,2).

Jose A. Fernandez, nawrócony ksiądz

Po nawróceniu José Fernández był bardzo aktywny w głoszeniu Ewangelii, zwłaszcza na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych i wśród osób hiszpańskojęzycznych. Dzisiaj jest z Panem.

(Przekład całego świadectwa: Aleksandra Czwojdrak i Meciej Wierszyłowski. Opublikowane w książce „Daleko od Rzymu...” (Bennett/Buckingham), Warszawa 2004. Tekst w załączniku został przetłumaczony z języka niemieckiego za pomocą DeepL.com (wersja darmowa).

Wykorzystano polskie tłumaczenie Biblii zatytułowane „Biblia Gdańska (1881)”.